

PIOTR SALES

TAJEMNICA FAKIRA

Druga część „Lekarza Cudotwórcy“

Tłumaczyła MARYA SEGENY.

29

W jednej chwili ze stu żołnierzy angielskich i policyantów znalazło się na pokładzie okrętu i utworzyło szpaler wzbudzający przejęcia. Kilku Europejczyków chciało protestować, ale przewaga była po stronie Hindusów, którzy zdolali się już przyzwyczaić do terroryzmu i arogancji władz angielskich i w milczeniu oczekiwali końca rewizji. Oddziałem policyjnym dowodził jenerałny szef policyi indyjskiej. Zamienił on kilka słów po cichu z kapitanem okrętu, który wykazywał mu wysłanie depesz telegrafem bez drutu dnia poprzedniego do Kalkuty.

— Ale do dyabła — mruczał szef policyi — gdzież oni być mogą! A Wiliam Perkins i jego towarzysze, poruszawszy tak ważną osobistość — nie zadali sobie tyle nawet trudu, aby przybyć na jego spotkanie! Lub może — a przypuszczenie to mogło być możliwe — udało im się we dwóch pochwycić zbrodniarzy, lub zbrodniarza, o którego obecności na okręcie zawiadomili władze? Uczynili to bardzo mądrze, ale nie bardzo zrozumiale, bo Wiliam Perkins nie chciał telegrafowi bez drutu powierzyć zbyt jasnych wiadomości i tym sposobem wywołać jakie niepotrzebne komplikacje w Kalkucie, i przywabić za wielki tłum na wybrzeże. Nie ułatwiliby to wcale aresztowania zbiegów!

Wiliam Perkins więc zatelegrafował ogólnie przez kapitana „Indiany“.

— Przekonany jestem o obecności pewnych ludzi na okręcie! sprowadzić silną eskortę dla dokonania aresztowania!

Misya Wiliama Perkinsa znana była policyi angielskiej.

Szef generalny nie miał ani minuty wahania i udał się natychmiast na wezwanie. I on również doszedł do tego wniosku, że fakirzy nie mogli zbiedz ładem; mieli czelność powrócić do kraju, na okręcie wiozącym księcia Kiwani — w nadziei może, że uda im się go zamordować w drodze!

Ale wysłedeni przez detektywów ze Scotland Yard, ukryli się na okręcie. Wiliam Perkins i Johnnie mieli ich więc w rękach. Po obejrzeniu dokładnem okrętu szef policyi zdecydował się zejść na dół — lecz tam znalazł tylko tragarzy, zajętych wynoszeniem bagaży i skrzyń. Udał się więc do palaczy, którzy niecierpliwie się już zaczęli ta przymusową niewolę i wyczerpani pragnęli jaknajprędzej znaleźć chwilę odpoczynku. Lecz tu nie było Wiliama Perkinsa i Johnniego. Gdy cały okręt przetrząsnęty został, niepokój ogarnął szefa policyi.

A może fakirzy zdolali cicho i ostrożnie uwolnić się na zawsze od tropiących ich agentów!?

W końcu szef zniescierpliwiony i rozczerwony kazał się zaprowadzić do kajuty zajmowanej przez detektywów, sądząc, że tam może odnajdzie jakiś ślad, lub znak, który mu wyjaśni sytuację!

Znalazł więcej niż się spodziewał: Johnnie na łóżku spał, chrapiąc przeraźliwie, a Wiliam Perkins nie spał co prawda, lecz za to był w stanie zupełnej nieprzytomności umysłu. Takie przynajmniej było pierwsze wrażenie, jakie odniósł szef policyi.

Szarpnął za rękę Johnniego, lecz nie mógł się go dobudzić, a Wiliam Perkins nie był w stanie odpowiedzieć na żadne jego zapytanie. Miał wygląd człowieka oszołomionego — lub też szalonego.

Nagle szef policyi zrozumiał wszystko. Fakirzy nie ośmielili się dokonać zbrodni, ale potrafiwszy się tak znakomicie ukryć podczas trwania podróży, wsunęli się dzisiejszej nocy ostrożnie do kajuty detektywów i nalali do butelki wódki jednego z tych płynów, które potrafią unieruchomić człowieka na dłuższy czas! Ale teraz gdzie byli winni?

Szef policyi zastanowił się głęboko; był pewnym, że oprócz księcia i jego przybocznej eskorty, nikt więcej nie opuścił przed chwilą pokładu „Indiany“. Pobiegnął szybko na pomost, aby się dowiedzieć, czy później nie nastąpiło nowe wylądowanie pasażerów i rozkazał kapitanowi posunąć okręt na środek rzeki. Momentalnie rozeszła się wiadomość, że nie wypuszczą nikogo na ląd, aż po zapisaniu i przejrzaniu wszystkich pasażerów. Ale do tej rewizji potrzebne były przenikliwe oczy Johnniego i Wiliama Perkinsa. Szef policyi powrócił więc do nich, prowadząc za sobą lekarza okrętowego. Ten nie umiał sobie wytłumaczyć stanu chorych. Zaaplikował silne środki

przecyszczające i odciągające, które znakomicie podziałały na Johnniego. Stan Wiliama Perkinsa był cięższy — jednak i on wkrótce przyszedł do siebie, o tyle, że mógł sobie zdać sprawę z położenia, a wtedy wpadł w rozpacz graniczącą z obłędem. Chciał sobie życie odebrać!... krzyczał, że nigdy nie powróci do Scotland Yard! że jest shańbiony na całe życie. A przecież z jaką zręcznością pokierował całą sprawą, jak chytrze tym wściekłym Hindusom podstawił przynętę — tę trumnę lakową, na którą powinni byli się złapać. I złapali się początkowo, bo w Marsylii wsiedli na okręt, wiozący detektywów; tylko okazali więcej przebiegłości od nich, bo potrafiliby przez cały czas trwania podróży nie zdradzić swojej obecności. A zamach dokonany na doktorze Gewolskim, był dostatecznym dowodem ich złych zamiarów i chęci zemsty.

Podniecony tymi myślami Wiliam Perkins, zerwał się, wybiegł z kajuty i jak szalony zaczął latać po pomoście „Indiany“ zaczepiając pasażerów, zaglądając do wszystkich kątów. Wtem zabrzmiał okrzyk Johnniego. Wiliam Perkins skoczył do niego, sądząc, że tenże uczynił jakie ważne odkrycie. Ale Johnnie zauważył tylko brak trumny lakowej, która jako należąca do bagaży księcia Kiwani, zniszczona została z pokładu na ląd. A może wstrętne to białe pudło urządziło im znowu tę sztuczkę! Wiliam Perkins wzruszył ramionami na tę uwagę Johnniego. Jeszcze wczoraj wieczorem wpadł na tę samą myśl i nie zaniechał zbadania ciężarów skrzyni i zamków. Pieczęcie były nietknięte, a on miał przecież w kieszeni klucze od zamków! Nie! Nie! To nie tutaj należało szukać winnych! przypuszczenie to mogło się okazać prawdopodobniejsze, gdyby wylądowanie nastąpiło w nocy! — ale w biały dzień! w obecności gubernatora i straży policyjnej, tworzącej szpaler na wybrzeżu! Gdzież znowu!

Wiliam Perkins wylał cały swój zły humor na całą ludność „Indiany“ która musiała się poddać najściślejszej rewizji. Wszystkie osoby pojedynczo wypuszczano na ląd, zbadawszy przedtem ich papiery i paszporty i po zapisaniu ich przez komisarza okrętowego. Miało wylądować dwieście dwadzieścia osób, wszystkie znane i zapisane — i rzeczywiście wylądowała akuratnie ta sama liczba.

Następnie raz jeszcze przejrano drobiazgowo bagaże z każdej skrzyni, jaką, według orzeczenia Wiliama Perkinsa, okazała się za ciężką — odrywano wieko i wyjmowano większą część zawartości. Cała ta praca okazała się bezowocną. Noc już zapadła, gdy ukończono tę mozolną pracę. Trzeba było skłonić głowę w milczeniu przed oczywistą przegraną. Fakirzy, o ile wogóle znajdowali się na skrócie — uszli tuż tuż pod wspianym nosem najlepszego z detektywów, Wiliama Perkinsa.

Przegrana detektywów angielskich była w godzinę później przedmiotem zabawy zebranych gości w pałacu wicekróla.

Całe przyjęcie było do tej pory nadzwyczaj sympatyczne i przyjemne. Bo czyż książę Kiwani nie był duszą już napół Anglikiem? Miał on, tak samo jak władcy angielscy, wspólnych nieprzyjaciół — to jest partye postępowe nihilistów i fakirów, którzy chcieli zreformować kraj jego ogniem i mieczem.

Uprzejmie i pozornie szczerze książę zaznaczył, że zawdzięcza życie swoje jedynie opiece rządu angielskiego, którą otaczany był nawet w Paryżu. Na co wice król odpowiedział, że i tutaj będzie panował pod tą opieką i w tym celu wydał surowe rozporządzenia do postów i granic państwa — aby pilnować gorliwie każdą podejrzaną osobliwość, która usiłowała przedostać się do Indyi.

Zresztą wicekról był zupełnie spokojny pod tym względem, emisaryusze jego, rozsypani po całej Azyi, twierdzili, iż wpadli na ślady starego Falika i Sandrala, podróżujących oddzielnie i mających zamiar schronić się do Tybetu, lub Chin, w celach agitacyjnych. Wicekról nie wierzył ani przez chwilę aby ci szaleńcy odważyli się podróżować na pokładzie „Indiany“ — byłoby to szczytem naiwności — lub odwagi.

To też nieprzychylnie przyjął sprawozdanie szefa policyi, który przybył, aby mu zdać sprawę z poszukiwań przeprowadzonych na „Indianie“.

— Za wiele gorliwości! — rzekł — za wiele! I za wiele rozgłosu. Jutro wszystkie dzienniki się o tem rozpiszą!

I nie tylko dzienniki angielskie, lecz i miejscowe, które twierdzić będą z wszelką pewnością, że wygnani znajdowali się na okręcie, a uszli z niego przy pomocy nadnaturalnych sił, które tłum przypisuje sekcje fakirów. Jeszcze jedna „cudowna historia“ zdolna rozpalić imaginację prostych ludzi. Wicekról Indyi wolał tę historię w żart obrócić i opowiedział ją przy sposobności, nie oszczędzając

detektywów ze Scotland Yard — dodając — iż żałuje tylko, że w tę głupią sprawę wmieszano niepotrzebnie policyę indyjską.

Wiliam Perkins i Johnnie wysłuchali w milczeniu i spokojnie zarzutów wicekróla, powtórzonych im przez szefa policyi.

Zostali pokonani — musieli więc z godnością znieść skutki tej nie milej porażki. — Ale bezzwłocznie podjęli napowrót walkę.

W umysłach ich bowiem pozostało uparte przekonanie, że zbrodniarze upatryli stosowną chwilę przy wylądowaniu księcia i jego eskorty i wykorzystali ją do dokonania ucieczki. A że detektywi nie byli obcy temu wylądowaniu — należało dokładnie zbadać jego przebieg.

W tym celu, ubrani bez zarzutu, w białych rękawiczkach i krawatach, wsunęli się do salonów gubernatora, gdzie przeliczyli osoby, które opuściły okręt w czasie ich choroby.

Szef sekcji miał listę tych osób i nazwiska spisane.

Wiliam Perkins i Johnnie sprawdzili więc tę listę. Osób było czterdzieści cztery. Piętnaście z nich gościło na przyjęciu u wicekróla Indyi — reszta więc znajdowała się w hotelach, gdzie zatrzymano apartamenty dla księcia Kiwani i jego świty.

Wiliam Perkins rozkazał Johnniemu iść sprawdzić ich ilość, a sam pozostał w bliskości księcia. Lista przyniesiona w krótkim czasie przez Johnniego, była identyczną z listą będącą w posiadaniu szefa policyi.

Wiliam Perkins nie należał jednak do ludzi ślepo wierzących. Zaklął po cichu i nie zwracając uwagi na zachmurzoną twarz Johnniego — sam jeszcze poszedł do hotelu i wyszedł z tym samym rezultatem co i on.

Już teraz Wiliam Perkins wiedział, że fakirzy nie opuścili okrętu, podszywając się pod cudzą obecność — ale opuścili go, ukryci w skrzyniach, lub bagażach!

A gdzież były te bagaże!

Szef policyi objaśnił go, że sam asystował przy przewiezieniu rzeczy księcia na dworzec, wraz ze swoimi detektywami — i że książę miał odjechać nazajutrz wczesnym rankiem do Kiwani. — Pora nie była jeszcze spóźniona. A na dworcu panował jeszcze ruch dosyć ożywiony. Fakirzy więc mieli dobrą sposobność ukrycia się pomiędzy tłumem i rozlicznymi bagażami, zawałającymi peron.

— Oni są ukryci w trumnie lakowej — powtarzał z uporem Johnnie. — I w nocy wydostaną się, aby nam zniknąć z oczu na zawsze.

Przyjęcie u wicekróla dobiegało końca. Wiliam Perkins poprosił Gewolskiego o chwilę rozmowy.

Sławny lekarz nie mógł żywić sympatycznych uczuć dla tych dwóch łajdaków, którzy tak zakpili z niego i chcieli w dodatku wrzucić go w morze na pokładzie „Indiany“. Powinien był więc chętnie zgodzić się na prośbę Wiliama Perkinsa, który chciał aby im towarzyszył na dworzec. To też Gewolski nie namyślał się długo. — On nie potrzebował obawiać się spotkania z fakirami. — Jeżeli wogóle ktoś umknął z pokładu „Indiany“ — to był nim Piotr Moreau! tylko Piotr Moreau! który przesła-dował go nienawiścią swoją i nienasyconą zemstą!

— Służę panom — rzekł Gewolski uprzejmie, lecz z odcieniem lekkiej ironii w głosie. — Ale pozwólcie mi ten drobiazg zabrać z sobą.

Mówiąc to, wyjął z kieszeni nabity rewolwer.

— Ależ i owszem — odpowiedzieli zgodnie detektywi. — My takie same drobiazgi mamy w kieszeniach.

Gewolski był bardzo zadowolony — był bowiem teraz upoważniony bronić swojego życia, w razie niebezpieczeństwa. A wtedy jedyny człowiek, który go miał w rękach, jedyny człowiek, który mógł go zgubić — nie odezwie się już więcej i nie zdradzi jego tajemnicy w pałacu Kiwani.

— Możeby zatelefonować na dworzec, aby podwojono czujność — proponował szef policyi.

O nie! przeciwnie — odparł Wiliam Perkins — lepiej będzie, gdy znajdziemy tam mniej czujności, bo wtedy te łajdaki będą więcej pewni siebie.

W chwilę później automobil uwoził ich w stronę dworca, gdzie znaleźli wzorowy porządek. U wejścia otoczonego kordonem wojska i policyantów — czuwał sekretarz Matjasi. Gewolski chciał się do niego zwrócić z zapytaniem, gdy wtem rozległ się odgłos kroków, dochodzący od strony magazynów.

— A co! nie mówiłem wam! — szepnął Johnnie, wyjmując rewolwer z kieszeni.

Wiliam Perkins zaś skrzywił się i odparł:

— Nie szliby tak otwarcie i głośno! A przeto fakirzy, mój Johnnie, mają sandały, przypo-